Rok 1937 8 sierpnia Nr 32

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO“

Dobroczyńca ludzkości

Czy się kto kiedy dawniej zastanawiał nad tym, co dzieje się z wszelkimi głosami, jakie tylko powstają na ziemi? Czy przypuszczałby kto, że wszystko, zarówno głos ludzki, muzykę, śpiew, jak zwykłe odgłosy hałasu publicznego, stukot maszyn fabrycznych, huk piorunu, wystrzału, szum płynącej czy spadającej z gór wody, plusk deszczu, kwilenie ptaka, szczekanie psa i tak dalej i dalej — że wszystko to, niesione falami powietrza zanim się rozpłynie, zmilknie na zawsze, można schwycić i słyszeć, mimo, że się jest o setki mil oddalonym od miejsca, w którym te głosy powstały?

A przecież to wszystko, co się niejednemu bajką wyda tylko fantastyczną, a innemu tak już spowszedniało, albo w ogóle nigdy niczym nadzwyczajnym nie wydawało, że wcale się nad tym nie zastanawia, — stało się dopiero w czasach ostatnich, za życia osób jeszcze wcale nie starych, niejedno zaś nawet zupełnie świeżo, niemal w oczach ludzi całkiem młodych.

Takim to szybkim krokiem postępuje naprzód wszelka wiedza, przede wszystkim nauki techniczne, a już zwłaszcza dziedzina elektrotechniki.

„Ojcem“ — jak się to pospolicie mówi — tej gałęzi nauki, był w drugiej połowie wieku XIX uczony angielski Maxvelle, który tylko na podstawie obliczeń doszedł do przekonania, że istnieją w powietrzu fale elektromagnetyczne, rozchodzące się z szybkością równą światłu. Nie myślał on jednak wcale o zastosowaniu swego odkrycia w życiu praktycznym.

Stwierdził wynalazek jego w kilka lat później niemiecki fizyk Hertz, ale dopiero włoski profesor Righi zajął się nim szczegółowo i zainteresował nim młodego ucznia Wilhelma Marconiego (c wymawia się jak k).

Ta idea przenoszenia fal głosowych na dowolną odległość i w dowolnym kierunku bez połączenia drutowego, jak to jest w telegafie i telefonie, wypełniła niemal całe życie wielkiego uczonego (który zmarł przed paroma tygodniami). Zaczęły się więc niezliczone próby i doświadczenia, aż pierwszy raz udało się Marconiemu przesłać głos między dwiema miejscowościami oddalonymi od siebie na przestrzeni zaledwie kilku kilometrów. Następne doświadczenie dokonane w tym samym roku powiodło się na odległość już 18 km.

Od tego czasu coraz bardziej udoskonalała się radiotelegrafia, aż doszło do tego, że nie było punktu na całej kuli ziemskiej, z którym nie możnaby się połączyć sposobem wynalezionym przez Marconiego. Udoskonalając coraz bardziej całą „aparaturę“ czyli urządzenia techniczne, tak dla skierowywania fal, jak i odbierania ich, doprowadził genialny wynalazca do tego, że nawet wśród niezmierzonych przestrzeni fal oceanu okręt, któremu grozi zatonięcie może wysłać w drugi jeszcze bardziej nieogarniony ocean powietrza, wołanie o ratunek. Takie jego S. O. S. (skrót wyrazów angielskich) chwytają swymi aparatami odbiorczymi inne statki znajdujące się w drodze i natychmiast skierowują się ku miejscu katastrofy.

Marconiego dziełem jest też, że siedząc spokojnie w zacisznym pokoiku w mieście czy na wsi, słuchać możemy pięknych koncertów czy pouczających odczytów z najdalszych stron świata. Jemu do zawdzięczenia mają tysiące ludzi, którzy nie mogąc pójść do kościoła, nie pozbawieni są jednak w niedziele i świę-

ta słuchania nabożeństw i kazań, bo umożliwia im to radio. Dzięki jemu wogóle wiadomość, która dawniej dostawała się do różnych zakątków na ziemi w przeciągu długich nieraz miesięcy, teraz obiega cały glob w ciągu jednej sekundy, a nawet może być pochwycona przez pędzący pociąg czy lecący aeroplan

Marconi, choć był tak wielkim geniuszem, że stał się po prostu dobroczyńcą ludzkości, różni się od wielu innych tym, że gdy oni zawdzięczają wszystko rozumowi, uważając, że tylko z jego pomocą da się wydzierać przyrodzie jej tajemnice, — Marconi w tych — dla innych uczonych „ślepych siłach przyrody“ widział zawsze moc i mądrość Stwórcy, a był przekonany, że człowiek zdobywać może wiadomości o prawidłach kierujących wszechświatem tylko z pomocą Bożą. To też nic dziwnego, że Papież darzył go swoją przyjaźnią i powierzył mu urządzenie w Watykanie wielkiej radiostacji nadawczej i odbiorczej dla stałego użytku Stolicy Apostolskiej w stosunku z wyznawcami wiary Chrystusowej. Kiedy odbywało się uroczyste otwarcie tej stacji, Marconi wobec Papieża zaczął swoją mowę słowami, które najlepiej charakteryzują jego religijność:

„Z pomocą Bożą, która tak tajmnicze siły przyrody oddaje na użytek ludzkości, mogłem sporządzić ten instrument, który wiernym całego świata pozwoli słuchać żywego słowa Głowy Kościoła“.

Jakże marnymi i małymi w obec tego uczonego, wydać się muszą wszyscy owi pyszałkowie, którzy niczego uznać nie umieją ponad swój ograniczony rozumek, wyobrażając sobie, że on jeden wystarczy — bez wiary i religii.



Tak żołnierz na ćwiczeniach i na wojnie przenosi na plecach radiostację nadawczą i odbiorczą mogącą obsłużyć całą armię.

Między afrykańskimi Dagarysami

Jak wiadomo. ojczyzną Murzynów jest Afryka. Żyje ich tam niemało milionów. a dzielą się na nieprzeliczoną ilość plemion czyli szczepów. różniących się między sobą nie tylko barwą skóry i wzrostem. ale i zwyczajami, obrzędami, mową. usposobieniem mniej lub więcej dzikim. wyobrażającym n. p. ludożerstwo.

Od wielu lat już pracują tam misje chrześcijańskie i nie mało czarnych owieczek o kędziarzawych głowach pomnożyło owczarnię Kościoła świętego. Nie

odstraszają misjonarzy najokropniejsze niebezpieczeństwa, klimat, ni zabójcze choroby, upały tropikalne, ni jadowite węże, dzikie zwierzęta jak lwy i tygrysy, ni drobne, a nie dające się niczym pokonać owady; nie straszna też Chrystusowym apostołom dzisiejszych czasów możliwość śmierci w okrutnych męczarniach, czy to skutkiem straszliwego zwyczaju obdzierania jeńcom skóry z głowy, czy też na stosie ogniowym, jako ofiara dla bóstw pogańskich, albo jako żer dla potężnych, białych zębów murzyńskich.

Między innymi szczepami istnieje też w Afryce na t. zw. Złotym Wybrzeżu, plemię Dagarysów. Przed kilku laty, kiedy zakładano tam właśnie stację misyjną, istniała między nimi wstrętna choroba skórna, zwana przez francuskich lekarzy frambresia. Polegała ona na tym, że całe ciało pokrywało się bardzo bolesnymi, a przede wszystkim obrzydliwymi, ropiejącymi ranami. Oczywiście nikt nie mógł przynieść żadnej ulgi nieszczęśliwym chorym.

Ale misjonarz to nie tylko lekarz duszy, jej wybawca i uświęciciel. On dla tych biednych ludów, grzęznących we wszelkiej ciemnocie, staje się jednocześnie nauczycielem, przewodnikiem, druhem oddanym i — lekarzem. To też i tutaj zwalczył chorobę nie kto inny, tylko misjonarz, postarawszy się o odpowiednie środki lecznicze. Dagarysi nabrali oczywiście zaufania do białego człowieka, co uwolnił ich od prześladującej choroby. Niedługo potem zdarzyło się znowu, iż zachorowala ciężko pewna murzynka. Zawołano do niej misjonarza. Zanim jednak przybył, kobieta straciła przytomność i wszyscy byli pewni, że umarła. Zaczęto już nawet czynić przygotowania do pogrzebu. Lecz lekarz-misjonarz nie dał za wygrane. Pobiegł do domu misyjnego, i przyniósłszy stamtąd środek orzeźwiający, wlał go do ust chorej, rozwarłszy przedtem zaciśnięte kurczowo zęby. Kobieta otwarła oczy, co wywołało zdumienie wśród obecnych, tym bardziej, że rychło pod opieką misjonarza odzyskala zupełnie zdrowie.

To „wskrzeszenie" umarłej — jak przypuszczali Murzyni — uczyniło go w ich oczach świętym cudotwórcą. Na próżno starał się im wytłómaczyć całą sprawę. Mieli swoje zdanie i przekonanie, od którego odstąpić nie myśleli, a które z dnia na dzień powiększało sławę misjonarza. Wkrótce nowe zdarzenie, które już na prawdę było cudem, zesłanym z Nieba, miało tę czarną gromadę pogan przyprowadzić do poznania prawdziwego Boga.

Od długiego czasu panowała straszna posucha. Najwymyślniejsze sposoby, sztuczki i zaklęcia murzyńskich czarowników dla sprowadzenia deszczu nic pomóc nie mogły. Wszystkie wróżby okazywały się zawsze kłamliwymi, gdyż ani kropla orzeźwiającej rosy nie spadła z bezlitośnie pogodnego nieba. Udano się do misjonarza, który chyba jeden jedyny mógł sprowadzić zmianę tak upragnioną. Wszak uzdrowił ich z ohydnej choroby, wszak wskrzesił zmarłą! — Dlaczego by nie mógł i tego cudu dokonać?!

Daremne, jak przedtem, były wszelkie wyjaśnienia kapłana, że wobec sił przyrody jest bezsilny, że tu tylko sam Pan, sam Twórca tej przyrody, sam Bóg, do którego on się modli, może sprawić, by deszcz ożywił spragnioną ziemię. Kiedy nic nie pomagało, odprawił z Murzynami procesję, w czasie której śpiewano litanię do Wszystkich Świętych, jak to bywa u nas w Dni Krzyżowe, poczem prosił ich, by mieli ufność w Boga prawdziwego — i uspokojonych rozpuścił do domów.

Czyż można sobie wyobrazić wrażenie, zarówno czarnych rzesz biednych pogan, jak i ufnego katolickiego kapłana, gdy niebawem, kiedy Murzyni nie doszli jeszcze do swych nędznych chat, rzęsisty, dobroczynny deszcz spadł na wyschniętą ziemię! Zaiste, cud to był prawdziwy, którym Bóg wynagrodził sowicie trud i poświęcenie swego sługi. Od tego czasu oblężony był stale dom misyjny rzeszami tubylców, którzy zapragnęli poznać prawdziwego Boga i domagali się chrztu. Rychło ojcowie misjonarze zaczęli nad nimi systematyczną pracę, by jak najdokładniej i najlepiej przygotować ich do tej świętej chwili.

Tak to niekiedy Pan Bóg doraźnie wspiera Swoją wszechmożną ręką pracę apostołów, którzy dla Jego świętego imienia oddali wszystko, co jeno człowiek oddać może na ziemi, nie dbając ani o życie swoje, ani o śmierć, a zapatrzeni jedynie w święty Krzyż Zbawiciela świata.

Niespodzianki wyprawy myśliwskiej

Opowiedział Marian Warta. (Ciąg dalszy)

Najwięcej jednak unosiło się w powietrzu mew różnego gatunku, a po ustroniach kryło się wiele nurów morskich.

Ta mnogość ptactwa, które tu znajdując pod dostatkiem doskonałego pożywienia, trzymała się brzegów morskich, zajęła młodych wędrowców. Wiktor musiał im co chwila dawać jakieś objaśnienie, a wuj widząc ich zaciekawienie, zwrócił uwagę na położoną tuż obok maleńką wysepkę.

— Napewne żaden z was nie odgadłby, czym pokryta jest cała powierzchnia tej wysepki. Przypatrzcie się uważnie tej skamieniałej skorupie białej, powlekającej grubą warstwą ziemię. To bogactwo naszego kraju, to skarby Peruwian, to jest owo słynne „guano“, które stanowi główny przedmiot handlu wywozowego w Peru. Ono mu dało w ciągu kilkudziesięciu lat setki milionów dolarów. W zdumienie was wprawiły masy ptactwa, jakie tu widzicie na wybrzeżu. Otóż pomyślcie, że przez całe wieki wydzieliny tych milionów ptaków, niespłukiwane deszczami, których w Peru niema, zasychały, kamieniały i tworzyły istne góry, zwłaszcza na wysepkach. To właśnie jest guano, które zawierając wiele soli amoniakalnych, ma przedziwne własności użyźniające. Już starożytni Indianie, przed najazdem Hiszpanów na Peru, używali guana do gnojenia roli; ale dopiero w dziewiętnastym wieku zabrali się do tego Europejczycy, sprowadzając z Peru ten cenny nawóz, zwłaszcza do swych kolonij na plantacje trzciny cukrowej. To, moi panowie, po czym w tej chwili depczecie nogami, ma doprawdy wartość złota.

Wśród tego Malajczycy dali znać zwiedzającym brzegi zatoki Chimbote myśliwym, że namiot, jaki mieli zbudować w odpowiednim miejscu na bezludnym półwyspie na czas polowania, jest już gotów i czeka na nich obiad obozowy.

Posiliwszy się siedli do łodzi wynajętej wprzódy w maleńkim porcie Chimbote, skąd zabrano też potrzebny na tydzień dla sześciu ludzi zapas żywności i wody do picia.

Dwaj brunatni ich towarzysze ujęli za wiosła i wyprawa przy sprzyjającej pogodzie ruszyła na zwiady po zacisznej zatoce, słońcem wygrzewanej, do miejsc, gdzie napewno można się było spotkać z lwami morskimi.

Wylądowali niebawem u brzegu, przy którym zaczynała się stroma góra, zawalona odłamami skał, a po wądołach porosła kępami suchej czołgającej się „tillandsy“, jedynej tu rośliny, oprócz rzadko jawiących się kaktusów.

Zaczęli się piąć na grzbiet, aż znalazłszy się na wysokości jakich 400 stóp nad poziomem morza, ujrzeli przed sobą niezmierzoną powierzchnię oceanu. Tuż zaś u stóp swoich mieli teraz głęboki, o prostopadłych ścianach wąwóz, do którego z hukiem napływały fale morskie.

Jednakże owego ryku wody nie było można rozróżnić wśród mnóstwa potwornych innych głosów.

Pan Worms z Wiktorem spojrzeli po sobie z uśmiechem, gdy Raul i Karol z ciekawością wsłuchując się, zapytywali, co to być może.

— Ryk, beczenie, chrząkanie, jakby jakie zmieszane stado bawołów, owiec i wieprzów... Potworny koncert.

— To lwy morskie — zawołał ku nim wuj zadowolony.

(Ciag dalszy nastapi).